



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Praca i zarobek kobiety.

(Le role économique de la femme, par Arthur Mangin. Paris. 1884.)

Kwestya pracy kobiecej należy do tych stosunkowo nowych jeszcze zagadnień społecznych, które nie przestają zwracać uwagi myślicieli. Przebywa ona jakgdyby peryod doświadczenia; owoce jej, nietylko ekonomiczne, ale społeczne i moralne, zaczynają dopiero dojrzewać, i sprawiedliwy sąd o nich, wytworzony na podstawie, nie przypuszczeń, ale danych, które z doświadczenia powstają, dopiero teraz wydanym być może. Myśliciel moralista zaraz przy pierwszym ruchu w tym kierunku podnosił głos przestrogi, wołał, że pozadomowa, pozarodzinna praca kobiety rozstróli rodzinę, że kobieta, wyrwana z naturalnego swego otoczenia, z naturalnych bytu swego warunków zacznie się źle przekształcać i zatracać najważniejsze przymioty swoje, które są przecież żywiołem tak niezbędnie ludzkości potrzebnym, iż pozabawione go społeczeństwo musi cierpieć i nędzić. Z kolei i ekonomista rozważać zaczął: czy praca kobieca w rodzinie nie przedstawia wyższej wartości ekonomicznej, niż jej praca przemysłowa, fabryczna? Tu odpowiedź, na zasadzie coraz-to większego doświadczenia formułowana, coraz mniej staje się przychylną pozadomowemu zarobkowi kobiety, który nie pokrywa, lub pokrywa zaledwie wydatek powstały z oderwania jej rąk od pracy gospodarczej w rodzinie i przy ogromnych stratach moralnych jest żadnym, lub niezmiernie małym, dorobkiem materialnym. W Anglii zaczęło się to najpierw, czy zaznaczać

boleśnie, czy też baczniej, niż gdzieindziej, zwrócono na te rzeczy uwagę, ale od pięciu, czy sześciu już lat poczęto odzywać się petycjami, wnoszonymi do Izby Niższej, że nędza i pijaństwo klas roboczych się wzmacnia, ponieważ kobieta z tych klas zatraciła w sobie najzupełniej umiejętność gospodarowania domowego, a gdy wszystko, od odzieży do pożywienia rodziny, nabywa się już gotowe, więc za pieniądze stosunkowo drogi żyje się nędznie i całkowicie poza domem, który stał się prawie tylko miejscem noclegu rodziny. I zaczęto też myśleć troskliwie o zapobieżeniu temu stanowi rzeczy, zaczęto wznosić we wszystkich częściach kraju wśród większych ognisk przemysłowych rządowe szkoły gotowania dla kobiet z ludu; bo ta nie tradycyi, która z matki na córkę wiadomością tu potrzebną przechodziła, zerwana została.

W przeszłym, zaprzyszłym roku począł w Niemczech podnosić się też ruch, w parlamencie zaznaczony, a przez Bismarcka podjęty, przeciw przemysłowej pracy kobiet. I tam występowały przyczyny te same: nie bogacenie się, ale przeciwnie ubożenie rodzin, którym praca matki usuwa się, a z drugiej strony zdżiczenie prawie obyczajów, powstałe z braku macierzyńskiego wychowania, niemożliwego przy zarobkowej pracy kobiecej—tak, jak niemożliwą jest wtedy gospodarna jej czynność przy ognisku domowym i troskliwa dbałość o wygodę męża, która go do żony i domu przywiązuje, broniąc przed wszelkimi pokusami, jakie na niego poza domem cychają. Bismarck kładł na to nacisk silny, że pozadomowa praca kobieca, nietylko rozluźnia wszelkie węzły rodzinne i obniża poziom moralności w narodzie, ale bogaci tylko kapitalistów, posługujących się tanio pracą kobiecą, gdy rodzina rzeczywicie żadnego zysku ztąd nie otrzymuje, bo to, co praca owa jedną stroną do domu wnosi, drugą z domu tego przez zabranie mu gospodyni uchodzi, a w rezultacie ostatnim pozostaje się

klassem robotniczemu tylko utrzymanie lichszego materialny i moralny dobrobyt zmniejszony.

Teraz świeżo głos podobny ozwał się we Francyi. Artur Mangin, współredaktor paryzkiego czasopisma *Economiste Français*, najpierw w tym organie (nr z d. 28 Czerwca), następnie w książce wydanej osobno, powstał silnie przeciw pracy kobiet w przemyśle, dowodząc, że tam „wartość ekonomiczna kobiety jest niezmiernie mniejszą od wartości mężczyzny, a nawet możnaby powiedzieć, używając terminologii właściwej, że kobieta nie ma i nie powinna tu mieć wartości żadnej, bo jej miejsce prawdziwe, jedyne jej miejsce, jest u ogniska rodziny.“ Wychodząc z tego założenia konkluduje też Mangin, że tylko fałszywa sentymentalność chce otworzyć kobiecie szersze drogi w działalności przemysłowej, bo, przeciwnie, należałoby je zamknąć przed nią w zupełności, bez żadnego wyjątku i dodaje, że gdy pewny odłam filantropów pragnie, aby zarobek kobiety podniósł się i przynajmniej w niektórych gałęziach przemysłu zrównał się z męzkim, on, na odwrót, radby wszelki zarobek kobiety w pracy przemysłowej znieść, wymazać zupełnie z rachunków ludzkości, jako rzecz nielegalną, szkodliwą, psującą układ społeczny.

Wszelki grosz, nazewnątrż dla utrzymania rodziny zyskany, powinien całkowicie pochodzić z trudu i dbałości męża, co jest jedynie prawidłowym rzeczą porządkiem. Mangin wykazuje tu, podobnie jak Bismarck, że tylko kapitalista przemysłowiec ma zysk na pracy kobiecej, nietylko ztąd, że jest tańszą, i stosunkowo tanią bardzo, bo kobieta, chcąc ją sobie zapewnić, przystawała na podawane jej warunki, ale przez konkurencją, jaką pracy męskiej czyni, tak cenę tej pracy na rynku przemysłowym zniża, że tam, gdzie mąż i żona wspólnie pracują, zysk z pracy żony powstały, mało wynagradza to zniżenie pracy męża, które przemysłowa praca kobiet wywołowała. Lecz nie dość na tem, bo trzeba tu doli-

czyć jeszcze, że każde miejsce przez kobietę w przemyśle zajmowane jest wyrugowaniem z niego mężczyzny. Nie ilość rąk pracujących jest normą dla produkcji przemysłowej: stanowi o tem zapotrzebowanie; że zaś na brak robotnika Europa bynajmniej nie cierpi, że przeciwnie ma przrost ludności, która się rokrocznie kanałem emigracyjnego odpływu do Ameryki i Australii przelwa, zatem każda kobieta w szeregi pracowników przemysłowych wkraczająca, zabiera miejsce mężczyzny,—a ztąd co wynika?

Mężczyzna zarobku pozbawiony nie żeni się i ta, którejby przy innym układzie społecznym przypadło zostać towarzyszką jego życia, matką jego rodziny, pozostaje teraz samotną. I oto para ludzi wykołajonych z przyrodzonego ludzkości porządku, wlokąca istnienie smutne, które z konieczności wiedzie za sobą całe szeregi złych następstw. Mamy tu zaraz w ogromnym procencie zepsucie mężczyzny: mamy w miejsce niedoszłego pracownika włóczęgę, burzyciela spokojności publicznej, gwałtownego zbrodniarza, gdy kobieta w ciężkie jarzmo pracy od pierwszej młodości wprzęgnięta; także w znacznej części moralnie upada, a spośród tych szlachetniejszych, wyższych natur, które w smutnej samotności swej w sile ducha trwają i ideałów moralnych trzymać się umieją, tworzą się całe szeregi oszukiwanych, okradanych biedaczek, które próżnujący mężczyzna czyni łupem wyzysku swego. Tęsknota serca, niezaspokojona potrzeba kochania, to ciężka męczarnia, tortura moralna, i pod jej wpływem wiele kobiet ulega złudzeniom mary, powstającej z własnych ich pragnień: ulega zaciemnieniu sądu i, fałsz za prawdę biorąc, poświęca się na korzyść kłamliwego miłość. Mangin wprowadza w obliczanie swoje nową rubrykę „kobiet zwodzonych“ i pisze: „Bynajmniej nie rzadkie są w klassach robotniczych, a nawet w klassach już wyższych, rodziny takie, gdzie mężczyzna uważa za rzecz wygodną próżnować i żyć z pracy żony, a potem i dzieci. Lecz wiele gorzej byłoby wtedy, gdyby na zasadzie równości pici, która w rzeczywistości (ekonomicznej) nie istnieje, przyznano pracy kobiecej taką samą cenę, jaką ma praca mężka.“ Z tego posagu, złożonego w kapitale pracy, korzystanoby tak, jak korzysta się już od wieków z posagu w gotówce, i dowodząc, że już dziś bywa tak bardzo często, że bardzo często nawet zli rodzice dopuszczają się takiego wyzysku swej córki, Mangin chrzci nazwą sentymentalizmu społecznego te wszystkie usiłowania, jakoby dziś modne, które w celu zapewnienia kobiecie niepodległości, zajmują się otwieraniem jej coraz-to nowych dróg pracy i zarobku. „Nawet ekonomiści, i to ekonomiści bardzo prawowierni (orthodoxes) nie umieją się obronić od tego“—dodaje on z niecierpliwością pewną i, wymagając, aby dobry przykład szedł z góry, żąda od państwa: 1) Nie przyjmowania tak na wszelkie przystępne dla kobiety urzędy publiczne, jak i w warsztatach państwowych kobiet innych, prócz wdów i sierot bez ojca, czyli kobiet pozbawionych naturalnej opieki mężkiej. 2) Niewytwarzania żadnych nowych posad kobiecych, lecz przeciwnie, sprowadzenia istniejących już do liczby możliwie najmniejszej. Wiele z miejsc zajmowanych dziś przez kobiety można bez szkody dla społeczeństwa skassować, a większość pozostałych powierzyć mężczyźnie, osobiście mężczyźnie żonatemu.

Posada dana żonatemu—to posada dana razem kobiecie, ale kobiecie na stanowisku swem naturalnem, kobiecie rozwijającej prawidłowo swoją działalność, potrzebną w stopniu bardzo wysokim każdemu dobrze ukonstytuowanemu społeczeństwu—kobiecie, nie tylko żonie i gospodyni, ale matce, chowającej młode pokolenie, więc przyszłość. Kobieta oderwana od tej pracy wychowawczej—to ta przyszłość opuszczona w młodości, która ją tworzyć będzie.

Mangin posuwa tak daleko tę troskliwość nieodrywania kobiety od ogniska domowego, od pracy wychowywania dzieci swoich, że powstaje nawet przeciw nauczycielstwu kobiecie, choćby elementarnemu. Mężczyzna potrafi uczyć wybornie, nawet dziewczęta, gramatyki, geografii, rachunków, historii—potrafi uczyć je wszystkiego, ale nikt

nie zastąpi matki przy dzieciach, żony w gospodarstwie rodzinnem i przy boku męża. Więc należy w szkole dać urząd nauczyciela mężowi, a wszystko zostanie w porządku dobrym i naturalnym.

Zarobkowa praca kobiety, usunięta z rynku przemysłowego, to rozwiązanie większej części najdrażliwszych, najcięższych zadań społecznych, bo znaczy to: podwyższenie cen pracy męskiej, zajęcie ogromnie zwiększonej liczby rąk męskich, podniesienie idei rodziny, wzmocnienie moralności ze wszystkimi dobroczynnymi skutkami, jakie to pociąga za sobą, i choć to jeszcze nie złoty wiek, o którym ludzkość od początku istnienia swego marzy, widząc go to poza sobą, to przed sobą, ale podstawa dana rozwojowi postępu w kierunku naturalnym, ugruntowanie pracy na zasadzie rozumnego jej podziału, według sił i przyrodzonych uzdolnień człowieka i nie wykolejanie go sztuczne, zmuszające do odwracania się koniecznego od wyższych, delikatniejszych, piękniejszych ideałów człowieka.

Trzeba, aby taka idea pracy została raz przyjęta przez ludzi rozumnych i w umysły, w sumienie ogółu, jako przekonanie wprowadzona, a „wtedy, nigdy inaczej, kobieta powróci do swojej jedynie prawdziwej roli ekonomicznej, społecznej i moralnej; wtedy rozbudzi się duch rodzinny a z nim obyczaje domowe“—pisze Mangin; ale godząc się na to wszystko w zasadzie, trzeba jednak zapytać: Co w takim razie poczują te krocie, te nawet miliony kobiet, których jest więcej, niżeli mężczyzn? Kobieta niezmężona a dorosła pracować musi i praca jej może być i jest niewątpliwie pożyteczną, jest tak jej samej, jak i społeczeństwu potrzebną i ekonomiczne bogactwo ogółu mnożąca; tylko potrzeba istotnie, aby została zregulowana: „de par la nature“, jak się Mangin wyraził, aby zwróciła się w kierunku, który najpierw nie przeciąża jej fizycznie, a dalej moralnie na zepsucie niemal konieczne nie skazuje i pod temi obydwojma względami fabryczna praca kobiet powinna być zreformowana, czem też narody Europy zajmują się do możliwego stopnia. Godziny pracy są oznaczone; pracy nocnej kobiet i dzieci nie dopuszcza się wcale; Francya, a za nią Anglia ustanowiły przed kilku laty wyłączenie w interesie robotnic urząd inspektorek fabryk, wybierając je z pomiędzy znanych i wyższego szacunku używających osobistości, którym została dana moc wchodzenia do sal kobiecych w każdej godzinie dnia i nocy, oraz odbierania skarg i zażaleń, jeżeliby krzywda jakaś została wyrządzona którejś z robotnic. Sprawozdania inspektorek spowodowały wydanie wielu przepisów nowych, mających na celu moralność i dobrobyt kobiet pracujących; ale pomimo to wszystko zniesienie zarobkowej, zwłaszcza fabrycznej, pracy mężatek byłoby ze względów najwyższego znaczenia dobroczynnym ścięciem woli osobistej, bo wtedy dziecko nie traciłoby matki, mąż—żony, wtedy życie rodzinne i to, co Mangin nazywa: „obyczaje domowe“ powstrzymałyby klasy robotnicze od pijaństwa i tej demoralizacji, która czycha na nie poza progiem rodzinnej uchrony.

Pozadomowa, pozarodzinna praca kobiety, nawet w klassach wyższych, wywiera niewątpliwie w stosunku do rodziny działanie burzące, odśrodkowe; lecz tu reforma leży więcej w kobiecie samej, niżeli poza nią. Gospodarna oszczędność, skromność w ubiorze, poprzestawanie na małym, pozwalałyby nieraz na ciche życie u ogniska domowego, i często chęć wydatkowania, wyemancypowania się z obowiązków rodzinnych, wydostania się na świat szerszy, popycha na te tory, gdzie kobieta nabiera zwolna nawyknień, stając cych do sporu z przeznaczeniem matki rodziny i gospodyni domu. U nas jeszcze tego niewiele; jeszcze, Bogu dzięki! kobieta wychyla się niechętnie poza koło rodzinne, i pragnąc należy, aby rozwinięcie przemysłu domowego pozostało ją zawsze w tem usposobieniu dobrem, aby ją ustrzegło od samotnej pracy, od samotnej walki z życiem, która gdzieindziej każe tysiącom cierpieć w pozbawieniu pociech wszelkich, a przed tysiącami innych otwiera pochłaniające je przepaści. W Szwecyi i Norwegii, w Hollandyi, i znacznej części Niemiec przemysł ten jest dla

potrzebującej zarobku kobiety klas wyższych kotwicą zbawienia. Bierze się pracę do domu: hafty, wyrób koronek, roboty drutowe i szydełkowe, kwaciarstwo, szycie białe, szycie rękawiczek, krawatów i tym podobne rzeczy, wykonywane u siebie, przynoszą zarobek bardzo mały; ale żyje się przecież, nie wydzielając się z rodziny i pozostając kobietą tych cichych cnót i nawyknień domowych, które są potem rękomią, nie tylko dobrej woli, ale i uzdolnień do szczęśliwie ułożonego życia w związku małżeńskim.

Nauczycielstwo przecież może, a nawet powinno być zawsze tą pracą kobiety, która, spełniana nawet poza rodziną własną, jeszcze nie ujmuje kobiecie nic z jej cnót rodzinnych. Zrozumieć trudno, jak autor francuzki nie odczuł tego, nie pojął, że tam, gdzie jest dziecko, jest zawsze idea rodziny, że kobiety zajęte nauczycielstwem nie wychodzą bynajmniej poza kres przeznaczony kobiecie działalności i są na właściwym, przynależnym sobie stanowisku.

Powiem więcej nawet: nauczycielstwo jestto jakoby drugie macierzyństwo; kobieta, której nie zostało danem stworzyć rodziny własnej, własne dziecko kochać i chować, znajduje w nauczycielstwie naturalne ujście dla uczuć, które są jej przyrodzone, znajduje w oddaniu jej tej gałęzi pracy, jakgdyby kompensatę za to, że pozostała samotną i wytraconą z kolei tego szczęścia, które powinny być udziałem każdej kobiety, jeżeli tylko nie wyzwała się z niego sama przez wyłamanie się z kobiecości, z kobiecego kierunku uczuć i myśli.

Właśnie przez to wielkie prawo, na które Mangin powołuje się przy organizacji pracy kobiecej, przez to prawo „de par la nature“, nauczycielstwo dziecka musi być, powinno być i będzie też zawsze zostawione kobiecie, bo dla jej kobiecości, przez którą się określa: uczuciowość, słodycz, tkliwość serca,—dziecko garnie się do niej instynktownie, a ona instynktownie ręce do niego wyciąga i lepiej od nauczyciela mężczyzny istotkę dziecinną pojmuje: ma więcej cierpliwości, łagodności w obejściu się z dzieckiem, zdolniejszą jest do wyrozumienia go—ma, jednym słowem, wrodzone sobie poczucie macierzyńskie i rozumienie natury dziecka.

Prócz tego wielkiego błędu, wielkiej omyłki, popełnionej przy gatunkowaniu pracy kobiecej, autor francuzki całą swą rozprawę pisał zbyt namiętnie, zbyt bezwzględnie, z pewną niecierpliwością wyobraźni; godząc się też najzupełniej na zasadę, z której wychodzi, na cel do którego dąży i rezultaty, których pragnie, nie można książce jego przyznać tych zalet, któreby mieć mogła, gdyby była pisana spokojniej i rozważniej. Zapomniał on zupełnie, że poza żoną i matką istnieje jeszcze w społeczeństwie kobieta, która przez zbieg okoliczności, przez wyrok losu, przez tę nakoniec konieczność, którą jest we wszystkich krajach Europy powtarzającą się większość liczebna kobiet, pozostaje samotną, a przecież żyć musi i dlatego też byłoby barbarzyństwem byłoby okrucieństwem skazywać wszystkie takie kobiety, niemające ogniska domowego, któreby utrzymywała praca mężka, na ciężki los nędzy i łaski ludzkiej, zamykając kobiecie wogóle wszelką drogę pracy zarobkowej. Ekonomista myśliciel powinien tylko wskazać te jej gałęzie, w których bez szkody dla siebie i ogółu może pracować i być użyteczną w społeczeństwie jednostką.

Marya Ilnicka.

POGA WĘDKA.

Mieliśmy tedy pierwszy śnieżyk, jako preludium zimy, która stanęła u progu, a nigdy chyba nie zapraszaliśmy jej tak gościnnie, jak w roku bieżącym, bo jej obecność spłoszyć ma widmo, grożące nam od kilku miesięcy nieustannie. Zaledwie przyglęchły trochę wieści o cholercie, co jesień nad uroczymi brzegami Sorrentu spędziła,

wypadł alarmujący telegram z Paryża o pojawieniu się epidemii nad Sekwaną.

Przyjemna perspektywa!... jeśli zład, to ze stolicy Francji najłatwiejszą znaleźć sobie może drogę do środkowej Europy i dalej; z Paryżem bowiem cały świat cywilizowany komunikuje się nieustannie i chociaż zaraza nie wybuchnęła dotychczas gwałtowniej, chociaż w milionowym mieście zabiera tylko kilkadziesiąt ofiar dziennie, i to w dzielnicach uboższych, chociaż według zapewnienia ostatnich buletynów słabnie podobno, zawsze niebezpieczeństwo grozi wielkie i jeśli żadne лихо nie zaciągnie choroby do Niemiec, albo do nas, będzie to szczególniejszą łaską losu, lub mroźnej zimy, która śnieżnym i lodowym kordonek otoczy zagrożone kraje.

A jeszcze zima wszystkiego złego nie usunie; z przyszlą wiosną mogą się zacząć nowe kłopoty i nowe kłeski, jeśli ogniska zarazy do szczętu nie wygasną.

Nic dziwnego, że Warszawa uczuwa dreszcze na samo wspomnienie cholery i długo je jeszcze uczuwać będzie; z doniesienia pana prezydenta miasta wnioskować nam wypada, iż kanalizacja, która ma poprawić ogólny stan sanitarny Warszawy, całkowicie w ciągu piętnastu lat nie zostanie jeszcze przeprowadzoną, a kanalizacja bez dostatecznej ilości wody, zamiast polepszyć, pogorszyć tylko może nasze warunki zdrowotne.

Widzimy tedy, że jest się czego lękać przez jakie... lat piętnaście jeszcze, ale pamiętając o zaleceniach wszystkich specjalistów i niespecialistów—nie traćmy fantazyi, ręk nie opuszczajmy, przepisów sanitarnych pilnujmy i róbmy, co możemy, aby złego uniknąć.

Nie z przyczyn anticholerycznych, ale z poczucia litości nad nędzą ludzką, zostały otwarte przytulki nocne dla biednych bez dachu, o których wspominaliśmy w ostatniej pogawędce; i zaraz z początku okazało się, jak potrzebną i pożyteczną była instytucja tego rodzaju, zwłaszcza w tej porze.

Codziennie wieczorem tłoczą się teraz do owych nocnych schronisk biedacy, błogosławiąc ofiarność bliźnich, która ich snem spokojnym, jak najwiosną jałmużną obdarza.

Szkoda tylko, że we wszystkich czterech przytulkach zaledwie 107 łózek wolnych się znajduje; wielu spóźnionych odchodzić musi ode drzwi zamkniętych, a ten zawód jeszcze przykrzejszym czyni potem nocleg pod gołym niebem, pod czyjmi schodami, w śmietniku, albo z głową przytuloną do twardego i zimnego muru kamienicy—bo i tak się w Warszawie nocuje.

Dziś, kiedy nowa instytucja powstała, a dobroczynne jej zadanie tak widocznym się okazało, chcemy być pewni, że filantropijny ogół pójdzie za dobrym przykładem tych pierwszych ofiarodawców, którzy na początek pośpieszyli ze składkami, bądź-to w gotówce, bądź w naturze.

Mamy nadzieję, że p. A. Łapiński nie będzie jedynym piekarzem, p. Janasz jedynym cukrownikiem, a p. Nowicki z hr. Kossakowską jedynymi dostarczycielami chleba, cukru i herbaty dla przytułków noclegowych; im więcej znajdą nasładowców, tem lepiej dla biednych, tem zaszczytniej dla Warszawy.

Ze sprawozdania Towarzystwa Dobroczynności za rok zeszły dowiedzieliśmy się, iż rachunki tej instytucji zamknięto niedoborem, wynoszącym około 9,000 rs. Przewidywane w budżecie dochody z zabaw i widowisk zawiodły najbardziej, bo przyniosły o 8,000 z górą mniej wpływów, aniżeli się spodziewano; zawód ten powinien być dla zarządu wskazówką i nauką na przyszłość, aby zwietrzały już nieco programmat balów, tomboli i bazarów odświeżyć na przyszłość, ożywić i urozmaicić nowymi pomysłami.

Warszawa nie skąpi grosza, zwłaszcza na swoje przyjemności; trzeba tylko umieć zainteresować ją, zwabić, skusić zręcznie: a skutek nie chybi.

Wyjmujemy tu kilka wymownych dat z rzeczowego sprawozdania, które najlepiej określają szeroką działalność filantropijną towarzystwa; utrzymywało ono w r. 1883 starców i kalek przeciętnie dziennie 294, sierot chłopców 145, dziewcząt 98. Do 26-ciu ochron uczęszczało średnio dziennie prze-

szło półczwarta tysiąca dzieci, do szwalni zaś robotnic przeciętnie 138.

Nazewnątrz towarzystwo udzieliło wsparcia w pieniądzu 1,825 osobom, w obiadach gościnnych 80, w zupie ramfordzkiej 160, w stypendyach 10, w opale 765, w lekarstwach 805, w pożyczkach 388; z czytelnictwa bezpłatnych korzystało 3,975 osób, z kas groszowych 2,815; ogółem przeto 15,245 osób doznało wsparcia ze strony Towarzystwa, a rozchód wynosił 301,575 rs. 22 kop.

Spora to sumka, której szafarką była instytucja tyloletniemi usługami odznaczona; a jednak cyfra ta nie może iść jeszcze w porównanie z temi, jakie inne stolice zapisują przy celach filantropijnych. Prawda, że u nas znaczne fundusze rozchodzą się jeszcze innymi drogami na potrzeby rozmaite i że dobroczynność prywatna pozostawia swoje wykazy w ukryciu, nie szukając rozgłosu i publicznego uznania.

Ta cicha filantropia działa wiele, w szerokim okresie; znany takich, co kilkadziesiąt tysięcy rubli sr. rocznie odkładają na przeróżne wsparcia i zapomogi ze swoich dochodów. Wszystko to jednak nie wystarcza; potrzeby mnożą się z każdym rokiem i mnóstwo jeszcze niezapełnionych luk, mnóstwo ludzkiej biedoty i celów mniej-szej lub większej użyteczności publicznej i obywatelskich obowiązków domaga się i czeka zaspokojenia.

Kiedyż ręka i kieszeń starczy wszystkiemu, czemu by serce rade było dopomóc?...

Weszliśmy z pierwszymi dłuższymi zmkami i wieszczami w sezon koncertowo-dobroczynny; początek można nazwać świetnym. Młodzież zebrała z niego największe korzyści, bo po koncercie na dochód uczniów Instytutu Agronomicznego w Nowej Alexandryi (Puławach), drugi koncert doroczny pod dyrekcją p. Quattriniego, na rzecz studentów uniwersytetu naszego, powiódł się pod każdym względem wspaniale.

Takiego tłoku, takiego ubiegania się o bilety i licytowania miejsc w Salach Redutowych nie pamiętano chyba w Warszawie; a jakież miało być inaczej, gdy szczęśliwy przypadek pozwolił uświetnić programmat koncertu współudziałem Modrzejowskiej i Mierzwińskiego! Pierwsza zjechała umyślnie z Krakowa, by się wywiązać z danego przyrzeczenia; drugi przybył z Wilna: zaspiewał, oczarował i prawie wprost z estrady udał się na kolej i w dalszą drogę po laury i złoto.

Znakomita artystka i znakomity śpiewak talentem swoim i urokiem zelektryzowali całą Warszawę; publiczność uraganem oklasków ich witała, młodzież wawrzynami wieńczyła.

Wielkie to szczęście mieć wyższy talent i zdobywać nim sławę i serca ludzkie....

W dziedzinie sztuki polscy artyści coraz głośniejszej nabierają firmy za granicą; pośród europejskich tenorów króluje dziś Mierzwiński, Kochańska przyćmiewa śpiewem sławę swoich wielkich współzawodniczek na pierwszorzędnym scenach; Modrzejowskiej hołdy składa publiczność dwóch światów, starego i nowego; Barcewicza dziś już wymieniają zagranicą wśród najcelniejszych skrzypków; nawet pani Zimajerowa w lepszym rodzaju podbija krytykę i zdobywa rozgłos, jako operetkowa primadonna, którą znał Wisły zabrano nad mętną Sprewę, a z nad Sprewy surmy reklamarskie torują jej tryumfalny pochód nad modry Dunaj.

Malarstwo nasze wcześniej już przyuczyło Francuzów i Niemców do wymawiania z obowiązku najtrudniejszych polskich nazwisk; popularyzujemy się w sferach sztuki.

Nad Sekwaną czytają „Bartka zwycięzcę“ Henryka Sienkiewicza, naturalnie, w tłumaczeniu: słowem, polskie talenta powoli zwalczają przesąd i uprzedzenie do „północnych barbarzyńców.“

Wstyd-by było nam tylko, gdybyśmy coraz więcej uznawani przez obcych, zapoznawali u siebie dalej tych, którzy na prawdę zasługują na nasze poparcie, szacunek, sympatyę i czesć.

Przed tygodniem rozeszła się wiadomość bolesna o śmierci jednego nie z zapoznanych wprawdzie, ale pominiętych przez swoich; był nim b. p. *Henryk Redlich*, znakomity sztycharz, który przed kilku laty zmuszony był z rodziną kraj opuścić, aby wśród obcych szukać pracy i chleba. Tu

nie mógł się utrzymać z ryłca, jakkolwiek świetnie wykonywał nim dzieła, bo takie sztychy, jak jego wspaniała kopia z „Kazania Skargi“, albo „Sejmu lubelskiego“ Matejki pozostają w dziedzinie sztuki pomnikami. Cóż z tego? Najlepsze chęci zawiody go, praca nie została ocenioną według zasługi, zawody i niepowodzenia cierniami usłały mu drogę żywota.

Redlich pochodził z rodziny starozakonnej ubogiej, od której uciekł poprostu, aby się mógł ukochanej sztuce poświęcić i wznieść ponad poziom pospolitości.

Urodzony w Łasku 1840 r., jako siedemnastoletni młodzieniec przybył do Warszawy, mając zamiar poświęcić się litografii tylko, ale w miarę prowadzonych studyów w szkole sztuk pięknych i rozwijającego się talentu, rosły artystyczne ambicje i dążenia. Do Drezna i Monachium wyjechał, jako stypendysta; około 1870 r. wrócił do kraju, jako rytmownik i sztycharz niepospolicie uzdolniony i wykształcony w swoim rodzaju. Mistrzowski jego ryłec pozyskał mu szeroki rozgłos, sława przyszła z laurowym wieńcem do cichego i skromnego artysty; na wystawie powszechnej w Paryżu odznaczono jego pracę złotym medalem i orderem legii honorowej, ale laury to nie chleb jeszcze i w wawrzynowym wieńcu można u nas mrzeć z głodu.

Biedny Redlich dla poprawienia losu wyjechał do Paryża; tam spotkał go cios straszny: złamał rękę, nabawił się długiej choroby, która go w bezczynności trzymała, życie się ciężko wlokło. Rozpoczętej kopii „Stańczyka“ na premię dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie dokończyć już nie mógł.

W ostatnich czasach przeniósł się do Berlina, aby być bliżej kraju, a może wrócić i próbować znów szczęścia wśród swoich, dla których chciał pracować całe życie; śmierć przyszła i położyła koniec zawodom i mękom.

Umarł, zostawiając żonę i pięcioro sierot bez utrzymania i zapewnionej przyszłości.

Zapewne kolledzy artyści nie poprzestaną na pięknych słowach i ubolewaniu drukowanymi w licznych nekrologach, ale zajmą się rodziną nieboszczyka i znajdą jakiś środek przysporzenia jej funduszków na utrzymanie.

Pod koniec bieżącego miesiąca projektowaną jest wystawa szkiców, mniejszych obrazów, malatur artystycznych na wachlarzach, meblach, parasolkach i t. p. Może coś w tym rodzaju dałoby się urządzić na rzecz pozostałej wdowy i sierot po Henryku Redlichu.

W braku stowarzyszeń, instytucji, funduszków zapomogowych, tem większa solidarność powinna zobowiązywać ludzi jednego zawodu i jednej sfery, bo *hodie tibi, cras mihi*.

Spodziewamy się rychłych wniosków w tej sprawie.

Po śmierci, co prawda, skłonniejsi bywamy do chwilowych zobowiązań i porywów sentymentu względem pamięci nieboszczyków, ale za życia... za życia zalecamy sobie wzajem hasła samopomocy.

Dzięki inicjatywie kilku miłośników sztuki dramatycznej stuletnia rocznica zasług twórcy sceny polskiej, wiekopomnego Wojciecha Bogusławskiego upamiętnioną zostanie pomnikiem, godnym jego imienia, a zapowiadającym pożytek i większy rozgłos scenie, którą założyli tak świetnie kierował.

Oto, jak to zapowiadaliśmy, projektowany konkurs dramatyczny został już wreszcie w zeszłym tygodniu ogłoszony przez redakcją „Gazety Polskiej“, którą fundatorzy i ofiarodawcy do tego upoważnili.

Ze wszystkich dotychczasowych konkursów literackich i teatralnych ten ostatni przedstawia najwięcej zachęcających warunków pod względem moralnym i materyalnym. Uwieńczony autor otrzyma 1,000 albo 500 rs. nagrody, zachowa prawa własności literackiej względem swojego dzieła i swobodę wystawienia sztuki na którejkolwiek scenie polskiej. Co więcej, utwór nagrodzony 1000 rubli zostanie staraniem i kosztem konkursowego komitetu wydrukowany wraz z życiorysem Wojciecha Bogusławskiego i oddany w całym nakładzie na własność autora.

Nagrody przyznane będą utworom dramatycznym wszelkiego rodzaju, napisanym bądź wierszem, bądź prozą, które obok prawdziwej wartości literackiej, posiadać winny *koniecznie* warunki, odpowiadające wszelkim wymaganiom sceny i wypełniać całe przedstawienie.

W razie, gdyby talenta nie dopisały, konkurs zostanie odroczone do nowego terminu.

Przy tworzeniu komitetu sędziowskiego zaprowadzono tę słuszną zmianę w dotychczasowej tradycji, że wykluczono z niego zupełnie autorów dramatycznych, ażeby pozostawić im swobodę jaknajszerszą współubiegania się o nagrodę; powołano natomiast przedstawicieli literatury, prasy, krytyki, sceny i publiczności, spośród osób znanych ze znawstwa i zamiłowania teatru.

W skład takiego komitetu wchodzi: pp. Władysław Bogusławski (wnuk Wojciecha), Dr. Jan Brzeziński, Dyonizy Henkiel, Kazimierz Kaszewski, Józef Kenig, Włodzimierz Kretkowski, Jan Królikowski, Edward Leo, Waclaw Szymanowski.

Ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych oznaczono na dzień 31 Grudnia 1885 r. pod adresem redakcji *Gazety Polskiej* w Warszawie.

Cel i warunki wyjątkowe konkursu powinny wywołać szlachetną emulację talentów, a jakkolwiek nie łatwo przypuszczać, aby nowy, gotowy i nieznanymi talentami, jak Minerwa z głowy Jowisza, wyskoczył zwycięzko w pełnym rynsztunku przed zdumionym aeropagiem konkursowym, to spodziewać się można, że pod wpływem takiej zachęty rozruszają się z większym animuszem i doświadczone pióra znanych autorów, i młode pióra początkujących.

Spróbować sił nigdy nie zawadzi; przypuszczamy też, że pomiędzy autorami w tym konkursowym turnieju znajdują się i ośmielone autorki, których jakoś bardzo mało dotychczas poświęcało swoje zdolności literaturze dramatycznej.

Czyżby na prawdę kobiecie łatwiej było zostać bohaterką dramatu, niż napisać kilka scen komedii?...

Zobaczmy... w roku 1886-ym, jeżeli bogi pozwolą.

Na zakończenie powinniśmy wspomnieć o bezpretensjonalnych „Wtorkach“ w Resursie Obywatelskiej, na których zbiera się towarzystwo dobrane w celu wspólnej, przyjemnej zabawy.

Wieczorki owe, na wzór „wełnianych“, których zeszłoroczne powodzenie utrwaliła długa tradycja, odznaczają się skromnością toalet i unikaniem wszelkiej wystawności. Panie przychodzą w sukniach wizytowych, panowie w czarnych tużurkach; program wieczoru zależy od natchnienia i dobrej woli towarzyskich talentów w tem zebraniu.

Deklamacja, muzyka, śpiew, wesołe pogawędki, wreszcie tańce zapełniają kilka godzin rozrywką taną, przyjemną i godziwą.

Oby tylko zwyczaj ten, wywołany dążeniem do reformy naszego towarzyskiego życia, utrwalił się i nie sprzykrzył płci—nazywanej ongi zmienną.

GLUPIA DZIEWCZYNA

NOWELLA

przez

Edwarda Lubowskiego.

I.

Na jednym z odleglejszych przedmieść Krakowa białe otynkowany domek, ogrodzony zielonymi sztachetami, przy sąsiednich dwóch nowo-wzniesionych wysokich domach wyglądał skromnie i potulnie. Domy te, pyszne i zadowolone z siebie, jak większość dorobkiewiczów, zdawały się dziwić staruszkowi, zgiętemu u ich stóp i psującemu symetrią. Stary też to był istotnie do-

mek, zbudowany jeszcze za Wolnego Miasta Krakowa i przechodzący spadkiem z głowy na głowę w jednej rodzinie. Pierwszy jego nabywca p. Jakób Bolewski, z ciężkiej pracy nauczycielskiej zebrał kapitał i za tanie naówczas pieniądze nabył domek z ogródkiem w tej części miasta, która wtedy wyglądała jeszcze jak wieś gęsto zaludniona, nie jak przedsiem miejska. Tu najstarszy syn jego wychował trzech synów, z których po rozlicznych burzach został mu się zaledwo jeden, także professor, a ten w sile wieku pożegnał świat zostawiwszy wdowę z dwiema córkami.

Ostatni posiadacz w trudnych już żył czasach, cichy jednak i słabowity z natury, przysłuchiwał się tylko zdaleka burzom. Ominęły go więc one, ale szarpnęły chudobę, tak, że kiedy spoczął na Cmentarzu Rakowieckim, wdowa przekonała się rychło, że ma tylko mieszkanie za darmo i trochę warzywa i owoców, ale bardzo niewiele na inne potrzeby, a zwłaszcza na wychowanie dwóch swych dziewczynek. Pierwsze dwa lata po śmierci męża przeżyła w ciężkich kłopotach, a nieraz i w biedzie; na jej szczęście umarł krewniak jakiś którego zaledwo znała, i zostawił jej spory kapitał. Umieściła go na dobrej hipotece i odtąd zajęła się z całym zapałem wychowaniem—głównie starszej córki.

Dlaczego tylko starszej?

Zajrzyjmy wewnątrz tego domku, którego okna ogrzewa gorące słońce lipcowe. Przy jednym z nich, wychodzących na ogródek, stoi siedemnastoletnia, bladej, jasna blondynka, o regularnych rysach, powłóczyście niebieskich oczach, a trzymając w ręku owalne lustro, przegląda się z zadowolonym uśmiechem. Widzi się ładną; w tej chwili jednak przeraźliwy pisk z ogródka i towarzyszący mu głośny śmiech, każą się jej spojrzeć w tamtą stronę.

— Ah, ty niepoprawna! — zawołała surowo. — Antosiu, przestaniesz ty raz nareszcie!

— Cóż ja winna? — odpowiedziała Antosia, nie przestając się śmiać na całe gardło — że moja mała nie chce się dać złapać.

— Czy to przyzwyczajenie zabawka dla dorosłej panienki! Antosiu, bo mamy zawołać.

— Zaraz, zaraz! Już ją trzymałam za dzióbek i wymknęła mi się znowu właśnie podczas twojego kazania.

To mówiąc, nieustraszona, choć w mowie pokorna Antosia puściła się galopem wokoło grządek za uciekającą i ciągle gdaczącą kokoszką.

— Mamo, mam, niech też mama zobaczy.

Zjawiła się wnet w oknie przy bladej dziewczycy zaszępiła twarz pięćdziesięcioletniej niewiasty, która zaledwo rzuciła okiem na plac sportu Antosi i czubatej kurki, zaraz zawołała ostrym głosem:

— Natychmiast mi do pokoju! A co to za straszna dziewczyna, na nic wszystkie napomnienia! Zaraz mi do pokoju!

— Już idę, idę — odezwał się zasmucony głos z ogródka.

— Słowo daję, gdyby ją tak kto zobaczył, zbrzydziłby sobie ją na wieki. Co ja z tą dziewczyną mam zmartwienia!

— Nie ma się mama o co martwić—odrzekła Antosia, zbliżywszy się do okna i całując gorąco po rękach matkę, która nie zdawała się tem bynajmniej prześląganą.

— Co z ciebie będzie? kto ciebie zechce za żonę? Zostaniesz starą panną!

— Zostanę przy mamie! albo mi tak źle?—zawołała ze śmiechem.

— Co mama jej tłómaczy—przerwała jasna blondynka—ona tego nawet nie zrozumie.

— Nie zrozumiałabym, że iść za męża to znaczy nie zostać starą panną! O, moja Anielko, masz mię jeszcze za bardzo głupią.

— Bo też taką jesteś!—odrzekła krótko i stanowczo starsza siostra.

— Jeżeli tylko mnie z tem dobrze...

— Ale nie nam!

— Bawić się z kurami, piętnastoletnia panna! czyż to nie wstyd!—gromiła ciągle matka.—Włosy rozrzucone na wszystkie strony, suknia zakurzona, zobaczysz, że cię oddam do klasztoru.

— Nie gniewaj—że się już mamuniu! Ani mi się zabawić nie dacie. Anielkę bawią książki, tańce,

muzyka i rozmowa, a mnie bawią kury, ogródek i gospodarstwo. Cóż w tem złego?

— Na—cożem cię kazała uczyć? ty, ty niedobra dziewczyno!

— A kto pilnuje, żeby obiad był dobry i w spiżarni porządek! Mamuniu droga, jam stworzona na kucharkę i gospodynię.

— Chodź zaraz inaczej przyczesać się i oprządzić. Niedługo przyjdzie pan Kalixt z panem radcą na obiad: jakże się im pokażesz?

— Alboż mnie nie znają! a potem przecie oni, to jest p. Kalixt, nie do mnie przychodzi!—dodała, rzucając wymowne spojrzenie na siostrę.

— Tylko, proszę cię—zawołała surowo Anielka—nie sil się na dowcipy, bo zresztą ciekawam, o czymby z tobą mógł rozmawiać p. Kalixt?

— Ależ ja go nie chcę, ani jego, ani jego rozmowy!

— Ciekawa jestem, coby było, gdybyś go chciała—odrzekła starsza siostra.

Antosia, ciągle stojąc przy oknie, objęła siostrę za szyję, i przyciągając jasną jej głowę ku sobie, wyczołowała kilkakrotnie z takim zapałem, że aż oblicze matki rozjaśniło się uśmiechem.

— Dobre z ciebie dziecko—rzekła — ale takie niesforne, taki kozak!

— Jeszcze ją mama uniewinnia!—wtrąciła nieudobruchana Anielka.

— Gniewasz się ciągle na mnie?—rzekła Antosia, znów obejmując ją za szyję — będę cię dotąd całowała, dopóki mnie sama nie pocałujesz.

— Moje loki! przestań—że, ah! jakaś ty nieznosna.

— Pocałuj, bo nie paszczę! — A, pocałowałaś! widzisz, że sobie nie dasz ze mną rady.

— Ktoby sobie dał radę z tobą!

Chwyliła czempredziej szczotki i starannie znowu loki przyczesać zaczęła; Antosia zaś podskakując wesoło i nucąc: — „Tam na bloniu błyszczą kwiecie“, wybiegła jak huragan z drugiej strony pokoju, porwawszy w biegu gdaczącą kurkę i potargawszy ją za czubek.

II.

Pan radca Odymalski był kolegą szkolnym s. p. Bolewskiego i nazywał się zdawna jego przyjacielem. Przyjaźni tej dał dowód za życia, dawał dowody i po śmierci—regularnem przychodzeniem raz w tydzień na obiad, złożony zazwyczaj z przysmaczków, które lubił „passyami“, słuchaniem żalów i narzekań wdowy, oraz zahypotekowaniem na swoim domu odziedziczonego jej kapitału.

Jako przyjaciel domu miał ważny głos w rodzinie. Nie posługiwał się nim wprawdzie często i dosyć obojętnie patrzył na wychowanie dziewcząt, ale umiał powagę swą zawarować zasiadaniem w ogromnym skórzanym fotelu nieboszczyka i wymaganiem bezwarunkowego posłuszeństwa, gdy mu się zdarzyło udzielić jakiej rady.

Rady tej udzielił pół roku temu, gdy biedna wdowa zaczęła przed nim narzekać na trudność znalezienia „w tych czasach“ odpowiedniego męża dla pańienek dobrze wychowanych, zwłaszcza gdy w domu niema mężczyzny, któryby się zajął wprowadzeniem młodzieży. Pan radca, zjadając klusieczki siekane z wątróbką, które bardzo lubił, kiwał głową monotonnie, zgadzał się na słuszność skargi, a gdy wdowa kończąca—rzekła:—Moje dziewczęta nigdzie nie bywają: jakże się tu z kim poznać?—odparła stanowczo:

— Wątróbki jest za mało, ciasta za dużo.

Na co Antosia:

— Na przyszlą Niedzielę będzie pan radca ze mnie kontent; ale czy p. radca słyszał co mówiła mama?

— Słyszał, słyszał — odrzekł machinalnie — i zrozumiał. Słusznie: trudno pannom samym poznawać się z młodzieżą.

— Nietylko trudno, ale niepodobna! — dorzuciła matka.

— Niepodobna, niepodobna — cedził dalej radca, kładąc znowu na talerz wzgardzonej siekanki—ba! i inaczej być nie może; takie są zwyczaje świata czyli przesady, a z przesadami walka trudna... trudna! Ho, ho! — zawołał nagle, uderza-

jąc się zatłuszczoną ręką w nizkie, gęstą siwizną porosłe czoło — jest na to sposób. Ja mam na to sposób — ja, wasz opiekun moralny i jakby drugi ojciec.

Anielka spójrzała na niego z zaiskrzonymi oczyma, wdowa podsunęła mu cały półmisek, Antosia zaś z dumą spojrzała na potrawę przez siebie sporządzoną....

— Jak wiecie, moi drodzy — ciągnął radca — bywam u Wielanda i tam grywam zawsze w szachy, a potem przypatruję się grze w bilard, ale sam nie grywam, choć kiedyś byłem pierwszy w karambolu i piramidce. Trzeba wam wiedzieć, że mam w tej kawiarni wielkie poważanie. Skoro tylko wejde, jeden kelner, Ludwik, zdejmuję mi palto, drugi podstawią mi krzesło i podaje gazety, a trzeci zapytuje: czy ma przynieść szachy? Gdy młodzież gra partya, a zdarzy się jaka wątpliwość, ja spór rozstrzygam: nie więc dziwnego, że mnie młodzież szanuje.

— Jaka młodzież? — nie mogła wstrzymać się z zapytaniem Anielka.

— Akademicka.

— Młokosy! — rzekła Antosia — Tacy się nie żenia.

— Ale są i dojrzały — przerwał surowo radca — dwóch młodych kupców galanterijnych niezonałych, kilku urzędników z Towarzystwa Ubezpieczeń, a często gęsto zdarzy się i obywatel ziemski.

— To już coś — szepnęła matka.

— I taki właśnie obywatel ziemski zapoznał się ze mną przed trzema tygodniami, przyzwyczaił się do mnie, tak, że nie zagra jednej partyi karambolu, żeby się mnie nie poradził. Zaprosił mnie nawet trzy razy na obiad i dwa razy na śniadanie i wczoraj właśnie, gdyśmy już byli przy kawie, rzekł, wzdychając:

— Wiosieczkę mam, niewiele tam do oczyszczenia potrzeba, zdrowie mam i gospodarke lubię; ale żony nie mam. I bardzo głośno westchnął kilka razy.

— A cóż pan na to? — spytała Anielka.

— A nic — bo wczoraj nie przyszło mi na myśl, że wy...

— Widzi pan radca, że nas pan nie kocha — zaśmiała się Antosia.

— Co prawda, to prawda! — dodała matka.

— Ale Kocham was i, jeżeli chcecie, jutro zaraz wprowadzę p. Kalixta.

— Przystojny? — znów spytała Anielka.

— Dla mnie bardzo przystojny — odparł radca, wychylając szklanke piwa — i ładnie się nosi, co dzień inny krawat i biała kamizelka zawsze.

— Jeżeli ma wioskę... zaczęła matka.

— Co to znaczy — zawołała poswojemu Antosia — że mu niewiele do jej oczyszczenia potrzeba?

— To znaczy, że na niej ciąży jakiś dłużek, ale to głupstwo, a obywatel ziemski to ładny stan.

— Bardzo ładny — westchnęła Anielka.

— Ładny o tyle, że człowiek widzi zawsze zieloność i ma dużo powietrza do oddychania! — wtrąciła Antosia.

— Schowaj — że swoje uwagi! — ofuknęła ją zgryźliwie siostra.

— Więc pan radca mógłby wprowadzić tego pana? — spytała wprost matka.

— A jakże! on za mną pójdzie jak baranek, tylko się wysadźcie z obiadem.

— Odrzuć na obiad? cóż on taki głodny? — nie mogła nie zauważyć Antosia.

— Przy obiedzie jest czas napatrzeć się sobie i pogadać.

I tak się też stało. Pan radca wprowadził pana Kalixta, a p. Kalixt bywa już od kilku tygodni w domku wdowy.

Pan Kalixt jest niskim brunetem, o mocno zarumienionej twarzy, gładko przyczesanych włosach, powęgiersku wysmarowanym wąsie i małych przenikliwych oczkach. Mówić dużo nie lubi, za to słucha wiele, jeżeli się zaś odezwie, to tylko o gospodarce wiejskiej, o dokuczliwości chłopów, a z miejskich wydarzeń wspomina tylko bilard i operetkę Offenbacha. Przychodzi regularnie o godzinie 7 wieczorem i siedzi do 11-ej, słucha z nabożeństwem, gdy p. Aniela gra na fortepianie najnowsze kompozycje, chwali nawet przed nią te wszystkie „kawalki“, potem zjada sumien-

nie zakąski do herbaty i, ucałowawszy rękę matce i p. Anieli, odchodzi wprost do swego hotelu, w którym, jako człek oszczędny, zajmuje skromny numer.

Matka nie wie co o nim myśleć i wogóle o jakiej-bądź przyszłości, z tych stałych wizyt, p. Aniela jeszcze mniej, a Antosia śmieje mu się pod nos bez ceremonii i nazywa go „niemrawym“. Panna Aniela próbowała kilkakrotnie dyskursu o uczuciach, miłości, tkliwej przyjaźni, sympatyach i t. p. Pan Kalixt słuchał zawsze z najwyższą pokorą, a raz wysłuchawszy, odezwał się:

— I ja miałem taką sympatyą do pisarza prowentowego w moim sąsiedztwie; komunikowałem się z nim bardzo często, ale cóż pani powie? zarwał mnie na 400 guldenów i tyłem go widział.

Pannie Anieli konkurent ten, gdyby nie ołśniwiający stan obywatela ziemskiego, byłby się dawno naprzykrzył; matka siła się nadarmo odgadnąć jego charakter; Antosia tylko wyraziła jasno swoje zdanie, chociaż jej wcale o to nie pytano, w ten sposób:

— Ja-bym mu nie dawała obiadów, tylko czarną polewkę. Siedzi, nic nie mówi, a taki nudny, że jakem na niego spojrzała wczoraj przez okno, gdy usiadł przy fortepianie, tom potem ziewała ze trzy godziny; a potem, Anielciu, czy go ty kochasz?

— A tobie co do tego? Że też ty musisz wtrącić się do wszystkiego!

— Antosiu, jeszcześ za młoda, żebyś wyrokowała o miłości — dodała surowo matka.

— Moja mumuniu, jak będę stara, to już będzie zapóźno, ale to wiem, że mi się p. Kalixt coraz mniej podoba, a nie podobał mi się nigdy. Anielcia powinna rządzić się sercem.

— Moja mamo, niech jej mama każe wyjść, bo ona mnie tylko irytuje... głupia smarkata!

— Może i głupia — pomruknęła, odchodząc posłusznie Antosia — ale albo się ma serce, albo nie. I nucąc znowu: — „Serce, serce“, zniknęła za drzwiami.

Widzimy ztąd, że Antosia miała wcale spory repertuar muzyczny.

III.

Czytelnik gotów nas zaraz posądzić o to, że wprowadzamy nowy typ kopciuszka, ponieważ jego srodze, brudnego, zafukanego i nieszczęśliwego, który w końcu, jak w owej pierwotnej bajce, przemienia się w księżniczkę i upokarza siostrę. Tymczasem tak nie jest.

Antosia jest bowiem ładnym dziewczęciem.

Ma duże wyraziste czarne oczy, twarzyczkę śniadą, ale okraszoną zdrowym rumieńcem, usta karminowe, choć trochę grube, lecz zpoza nich przegładają białe, równe i ostre ząbki, włosy krucze, tylko krótko obcięte i trochę powiesniacemu spadające zawsze na czoło.

Matka wprawdzie stroiła Anielkę, bo to była jej ulubienica, ale i jej nie żałowała porządných sukienek, tylko, że Antosia nosiła je inaczej aniżeli panienki jej wieku. Szczelnie i wysoko zapięta, jak w jakim mundurze, bez żadnej ozdoby, nawet bez kwiatka we włosach, trzymała się prosto, trochę pozołniersku, a stąpała, jak jej było wygodniej, bez wdzięku i pięknej maniery. Przytem nie lubiła rozmawiać z gośćmi w salonie, tylko się im przypatrywała zdaleka, przez okno lub dziurkę od klucza, zawsze ukradkiem, albo podsłuchiwała pod drzwiami ich rozmowy, a potem sądziła już o ich charakterze z jednego szczegółu fizioonomii, z brzmienia głosu lub z jakiegoś oderwanego frazesu. Matka z początku chciała ją zmusić do pozostawiania w pokoju i przyuczania się dobrych manier; ale dziewczyna tak się niespokojnie kręciła na krześle, lub znowu tak czasem bez ceremonii w głos się rozśmiała, że później już sama p. Bolewska zgodziła się chętnie na jej nieobecność.

Dziwna rzecz jednak, że nieraz jej zdania o ludziach, które snadź czerpała z instynktu, sprawdzały się co do joty. Bliżsi znajomi śmieli się z jej pustoty, z jej maxym wypowiedzanych bez ogródki i mawiali pocichu: „Dobre dziewczynisko, ale głupie“, a już co do siostry, ta najgłębiej

była przekonana, że jej natura odmówiła zdrowego rozsądku.

Aniela czytywała dużo, trochę bez wyboru, bo wszystko, co się nawinęło pod rękę; Antosi nikt nigdy nie widział z książką w rękę, pomimo, że cichaczem przeczytała wszystkich poetów klasycznych i romantycznych z biblioteki ojca, a co ważniejsza, zapamiętała ich znakomicie. Z niejedną głęboką myślą Mickiewicza chodziła dnie całe zadumana i roztkliwiona, nie pustacząc wtedy i nie śmiejąc się, jak zwykle. O świecie też i o ludziach miała swoje samodzielne pojęcia, które, gdy się z nimi odezwała przy matce i siostrze, znajdowały za całą odpowiedź wzruszenie ramionami lub słowo politowania nad jej biednym umysłem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JOANNA CARLYLE.

(Dokończenie).

Lady Henryka Barring miała salony otwarte w Londynie podczas wiosennego sezonu; przyjmowała gości w arystokratycznym swym zamku w lecie i jesienią; zapragnęła zatem sciągnąć sobie, dla podniesienia blasku swych recepcji, chwałę dnia i mody; pochlebiała, przymilała się, kokietowała, niewinnie czy winnie, i rozdmuchiwała w piersi Carlyle'a iskrę niespodziewanego w nim żaru. Pokochał się, pokochał gorąco, wiernie, wytrwale, i z drugiej strony było może coś rzeczywistej wzajemności, bo stosunek trwał lat dziesięć i rozwiązał się dopiero przez śmierć lady Henryki.

Żona filozofa umiała milczeć i cierpieć w cichości wtedy, gdy, obłana potem wygniatała ciasto i piekła chleb; gdy, przywiązując się do drabiny, malowała dom, gdy łątała buty męża, wyciągając z trudem delikatnymi i wprędce wychudłymi palcami, grubą dratwę, ale tego — tego już znieść nie mogła! Mógł jej nie kochać, ale nie miał prawa kochać innej, i gorycz, którą piła z tego kielicha, zatrula jej serce. Zaczęła i ona wybuchać złością, zaczęła podnosić głos, dopominając się przynależnego jej szacunku i poważania ze strony męża; ale gbur ponury, teraz podrażniony jeszcze przez palącą mu się w piersi namiętność, odtrącał ją pogardliwie i śpieszył, skoro tylko mógł, do swojej uśmiechniętej bogini, a nieszczęśliwa kobieta, osamotniona, niemająca tu teraz nikogo z życzliwych sobie, nikogo coby o niej myślał, zepchnięta w cień wielkiego swego męża, zapadła w głuchą rozpacz. Dusza była w niej umarła, tylko ciało pełniło dawne swe obowiązki biernie, leniwie, i uczucie niezmiernego żalu do męża zalało jej serce. Jakkolwiek przeszłość nie była szczęściem, ona przecież doszła przez siłę woli do pewnego cichego zadawania się tem, co otrzymywała. Wierzyła zawsze w geniusz męża, dziś już dowiedziony, i cały jego samolubny despotyzm składała na wyjątkowość jego organizacyi, a teraz spostrzegła, że to, co jej odmówionem było, dostawało się innej; cała ta słodka potrzeba miłości, która jest złożona w każdym sercu kobiecym, a która u niej zadowolenia nie znalazła nigdy, nigdy, obróciła się w gorycz. Mąż dał jej poznać zaraz po ślubie, że „nie lubi sentymentalności“, odgradził się od niej najzupełniej, skazał na samotność pustelniczą, wyznaczył na przebywanie z nią pół godziny czasu; a teraz oto znajdował nie godziny, nie dnie, ale tygodnie całe dla kobiety, która go pociągnąć umiała. Wyjeżdżał za nią na wieś, w Londynie bywał w jej domu bez końca. Biedna żona napisała w ósmym już roku tej małżeńskiej tragedji: „Gdyby policzć wszystkie mile (angielskie) drogi, które odbył, chodząc do niej tam i napowrót, byłoby ich z tysiąc, a każda z nich rozdzielała nas ze sobą!“

Myłady, zabrawszy na własność swoją męża, zapraszała czasami dla przyzwoitości i żonę, która wtedy musiała, musiała nieodwołalnie, stać się

na to okrutne zaproszenie, czynione zresztą niezmiernie rzadko i tylko na wieś, a Carlyle robił wtedy porównanie i znajdował, że toalety jego żony były „nędzne“, że ona sama wyglądała „źle, licho, niesmacznie“. w salonie tej, która miała „układ królowej“. Ta królowa była też pokrólewsku wyniosłą względem gościa, wyglądającego „źle, licho, niesmacznie“, i dawała wyraźnie poznać żonie, że jest w jej domu znoszoną tylko przez wzgląd na męża, który z drugiej strony nie ukrywał też wcale, że musi ją tu mieć obok siebie, niby jakiś багаż odejmujący mu całą przyjemność zabawy, którejby doznawał, gdyby jej tu obok niego mogło nie być.

Powrót do domu był inaczey ciężki i bolesny, biedaczka, przecierpiawszy tam tortury upokorzeń, tu doznawała kwasów i łajañ szarpiących jej serce i w jednej takiej chwili pisze w dzienniku swoim: — „Była burza, wyszłam też w dzienniku z domu i chodziłam, chodziłam, chodziłam.... Jeżeli nie zawsze zależy to od nas, abyśmy mieli w sobie spokój i pogodę, to możemy zawsze znużyć ciało nasze, co bywa niezłym sposobem ucieszenia się. Życie przedstawia mi się już teraz zawsze jak kalejdoskop z przewagą czarnego koloru. Przeznaczenie potrząsa nim i wytwarza kombinacje nowe, ale zawsze z jednych i tych samych żywiołów złożone—czarna barwa panuje!“

We dwa dni potem pisze, że musi wziąć choć trochę morfiny, aby usnąć mogła. Miała serce tak obolałe, że nie chciała go dotykać.

Dalej pisze, że potrzeba jej koniecznie wiele ruchu i świeżego powietrza, bo lęka się, aby serce nie rzuciło się na głowę, nie uczyniło jej waryatką i dodaje: — „Ah! jak szczęśliwi są ludzie, którzy mają dość wolnego czasu na to, aby myśleć o niebie; moją nieustanną troską jest, to, aby nie pójść do Bedlam. Gdyby uczucie nie istniało wcale, jakie-by to z nas były dobre, wytrzymałe na wodę statki!“

Zaraz pod tem znajdujemy zapisane w dniu następnym: — „O matko! matko moja! Teraz gdy ciebie niema, już nikt tego nie widzi, gdy cierpię, i nauczyłam się też znosić boleść w skrytości. Dla córki jedynaczki daleka to droga dojść do takiego stanu.“

Matka jej umarła w 1834, a ona pisała to d. 7 Listopada 1855 r. ale ta śmierć, osamotniająca ją już zupełnie, zostawiająca ją już zupełnie samą jedną na ziemi, nie zatracala swego wrażenia z upływem czasu, przez który boleść jej przedłużała się tylko jak nie coraz—to rozwijającego się kłębka. Biedaczka, za wspomnieniem matki wróciła niejako w świat swojej młodości i napisała na zakończenie wierszyk:

Kiedys mnie, matko, w kolebkę kładła,
Toś ty nie zgadła tego—nie zgadła!...
Jakie ja różne kraje przebęde
I jaką śmiercią umierać będę....

Wkrótce miała jechać w ową straszna dla niej gościnę do Hampshire, i nieboga pisze smutnie: „Ah! gdyby to już było po tej wizycie!“ Musi zajmować się toaletą swoją, ona, która nie miała czasu czynić tego, będąc jeszcze piękną i młodą: „Boże, Boże! czyż ja rzeczywiście, kiedy byłam piękną i młodą?“ pyta się z żalem gorzkim.

Potem następuje w dzienniku przerwa nagła i długa, bo przeszło kwartalna. Niewiadomo czy gościła wtedy w domu lady Henryki, czy tylko zabawiła tam krótko i wróciła na Chelsea, zostawiając męża w Hampshire, aby bez gniewającej go przytomności, „bagażu“, używał czasu przyjemnie. Ale to wiadomem jest z jego *Not.* że wezwano go ztamtąd nagle wiadomością o ciężkiej chorobie żony, lecz rzecz okrutna! musiał on sam, sam, własnymi rękami zapakować swoje rzeczy! Pisząc o tem w lat kilka i już po śmierci tej żony, już wtedy, gdy pokutuje jakoby za grzechy swego z nią pożycia, gdy spowiada się z win swoich i przeznaczają tę spowiedź do druku, jeszcze nie może zapomnieć ciężkiego trudu, który poniósł wtedy, i pamięta drobne szczegóły, których wspomnienie samo jeszcze go przejmowało trwożą. Organizacja ducha żony jest wręcz przeciwna organizacji męża, bo ta naodwrot usiłuje za-

pomnieć o tem, co zniosła najboleśniejszego, aby mieć siłę i energią do dalszego życia: — „No! mój dzienniku—pisze, powstawszy z choroby (22 Marca 1856 r.)—zaczynamy naszą rozmowę, ale nie oglądajmy się na to, co pozostało za nami. Natura chciała widać, aby człowiek nie patrzył nigdy wtył, skoro oczy jego mają kierunek wzroku naprzód. I ty tak czyni, Joanno Carlyle! patrz przed siebie, a jeżeli możesz, nie patrz daleko, w mglistość oddaloną.... Patrz na to co jest tuż przed tobą, na twój obowiązek, i wypełniaj go. Tak.... wypełniaj go! Lecz ah! duch jest chętny ale ciało mdłe, a miesiąc choroby uczynił mnie ustępniejszą niż woda, niemającą żadnej siły oporu. Już ja nie będę więcej biegać po Londynie w butach siedmiomilowych; dziś uszłam ledwo kawałek drogi i uważam to sobie za czyn dzielny. Ale jeżeli opuściły mnie siły, to za to zabrały ze sobą wzruszenia i niespokojności moje dawne. Mogę teraz siedzieć cierpliwie, nie robiąc, a nawet leżąc. Głowa jedynie pracuje wciąż, ale nawet to przybrało teraz zmieniony charakter nieokreślonego marzycielstwa i nie podnieca już we mnie wzruszeń, o których byłoby warto wspominać. Doszłam do tego, że obecnie mojem wyobrażeniem największego szczęścia, jest to—spać! Ah! biedna ja...“

Nie było śnać danem jej, aby posiadała choć takie szczęście śpiące, bo w cztery dni potem znajdujemy w *Dzienniku* kilka wierszy rozdzierających serce swoim wyrazem boleści: — „Miej ty litość nademną, o Boże mój! miej litość, gdyż słabą jestem i nieudolną. O Boże! ulecz mnie, bo kości moje trzeszczą, we mnie i dusza jest ciężko udrecona! I kiedyż Ty, o Boże mój, przyjdiesz? Zjaw się, zjaw Panie! i wypuść duszę moją... zbaw mnie ode złego przez miłosierdzie Twoje!“

O co chodziło? — niewiadomo — bo biedna nie dodała żadnego słowa objaśnienia, jaka to boleść, jaki kielich okrutnej goryczy był dany do wypicia jej zbolalej i chorej jeszcze kobiecie. Mąż może pamiętał gniewnie, że przez jej niewczesną chorobę oderwać się musiał od drogiej mu kobiety, że musiał sam pakować sobie kufer podróżny, i złość jego wywierała się na niej przy zdarzonej sposobności. Była mu przeszkodą do szczęścia, niewinna, z jego własnej woli wciągniętą w krąg jego życia przeszkodą, ale namiętność, u takich zwłaszcza natur, nie rachuje i nienawidził jej teraz dlatego, że tamtę kochał: nienawidził jej, bo była jego ofiarą, którą czuł poza sobą, irytując się jej cierpieniem, z którego powstawał mu w duszy głuchy wyrzut sumienia. — „Oh! gdybym ją mógł zobaczyć choć na pięć minut, aby zapewnić ją, że w rzeczywistości byłem zawsze do niej przywiązany“—wołał po jej śmierci, po przeczytaniu jej dziennika, do Froude'a, —ale umarli nie wracają, abyśmy ich przepraszać mogli za winy nasze przeciw nim, nie wracają i nam zostaje w sercu zgryzota nieuleczona. Ten egoista, ten człowiek namiętny miał być skazanym na taką pokutę surową, ale to już ostatni akt tragedii. Przedtem nastąpiła komplikacja niespodziewana: nie ta chora i złamana już życiem żona jego, ale piękna, bogata, świetniejąca blaskiem wszystkich darów fortuny, wielka pani umarła pierwsza. Zaszło to niespodziewanie w 1857 r. i Carlyle napisał w pamiętniku swoim: — „Przez dziesięć lat zaszczyty względów, którymi nie przestawała nigdy mnie darzyć, stanowiły najszacowniejszą część dobytku mego, część, z której się czułem najdumniejszym.... Stracona teraz.... stracona! Odeszła mnie—nazawsze odeszła!“

Lecz czytelnik tej smutnej historii doznaje tu mimowolnego, choć niechrześcijańskiego uczucia takiej ulgi, jak w melodramacie z czarnym charakterem, sprawia jego upadek, choćby to było porwanie przez szatana, a tryumfu ciemniejszej cnoty. Ale tu nie ma się z czego cieszyć. W dzienniku, w korespondencji Joanny czuć jakgdyby odwalenie z jej piersi gniotącego kamienia, jakgdyby podniesienie się z łoża Prokrusta, ale nie wywiera to przyjemnego wrażenia: ciężka to rzecz dla duszy takiej, jak ona dojść do srogięgo zadowolenia ze śmierci czyjejs, i nie mogło też być to rzeczą cieszącą rzeczywiście. Joanna napisała poprzednio: — „Nie zapominam nigdy dobrego względem mnie postęku, ale nie zapominam również

złego“, a Carlyle przy swoim charakterze nie mógł mieć boleści tkliwej, rozrzewniającej się, korzącej wobec grzechu, który ją sprowadził na niego—nie.... i Froude pisze, że jedna z osób, związana najbliższ z tą parą małżonków, tak mu uobrazowała ich stosunek wzajemny w tym peryodzie czasu: — „Ani czułości, ani pieśczozy, ani słowa tklivszego“. O Carlyle'u sąd tego świadka, również z tego momentu, był: — „Lodowiec na szczycie góry byłby podobnie ludzkim w obejściu się swoim“. Przytem spadło też teraz na niego i inne jeszcze doświadczenie ciężkie. Siła twórcza może prawdziwie istnieć i wylewać się obficie tylko przy spokojności ducha. Ożywia ją słodko doznane szczęście serca, wzmaga ją niekiedy nawet boleść wielka, która to serce porusza do głębi, ale zabija zawsze każde uczucie szarpiące. W stosunku, jaki teraz istniał między nim a kobietą, która nie umiała zapomnieć, włącznie z uczuciem gorzkiego żalu po stracie tamtej, którą kochał, znów objawiająca się posucha twórczości, trudność w oddawaniu myśli swych, była naturalnie dosięgającą go klęską. Łatwości pisania nie miał nigdy: wykuwał swoje dzieła jak z glazu, jak z najtwardszego kamienia; ale teraz, właśnie przy rozpoczętej pracy o Fryderyka II, stało się to cięższym niż kiedy, i wyznania jego w *Notach*, budzą litość mimowolną. Obstaje zacięcie przy pisaniu i z jednej strony nie jest w możności nie pisać, nie tworzyć, nie może wytrwać w bezrobociu umysłowem, gdy z drugiej pisać, tworzyć nie może!... Pożera go „wściekłość i upokorzenie“, doznaje wrażenia jakgdyby jego „mózg stał się błotem czarnem“ i przerywa nieraz mękę takiego silenia się na twórczość z obawy, aby nie zachorował—aby nie stał się waryatem! „Fryderyka II“ pisał lat dwanaście, męcząc się niesłychanie, doświadczając zawrotu głowy i bezsenności. Jest w obrazowaniu tego przesada i nadużycie kolorytu, aż do trywialności dochodzące: jest wpatrywanie się egoisty w siebie i pozowanie przed sobą, ale jest i męka tak ducha, jak organizmu fizycznego. „Zacząłem—pisze w *Notach*—przypuszczać, że nie skończę nigdy mej smutnej książki o Fryderyku, zacząłem myśleć, że to nie ja jej, ale ona mnie przyniesie koniec. Przypominam sobie jeszcze teraz uczucie przerażenia: posępne, mroźne, nieokreślone, a przecie bardzo rzeczywiste, które przeniknęło mnie jak strzała pewnej nocy, gdy siedziałem na ziemi, plecami oparty o bok kominka, w szlafroku i szlafmycy, owinięty w kołdrę, przy świetle świecy która się kopciła w kominie. Takim bywało moje lekarstwo na mękę bezsenności, ale uderzył wtedy na mnie pierwszy napad strachu. Przypominam sobie, że był potem smutny cały dzień“.

Tak się targał, szarpał nawet z chorobą i rozdrażniał ją właśnie, bo despota nie umiał nic znieść cicho i cierpliwie, lecz chciał każdą przykrość złamać gwałtownie, za co mściła się ona na niem, zdwajaniem siły swojej. W taki-to sposób rośnie nerwowość złośliwów jemu podobnych, i rozdrażnienie już chorobliwe, którem dręczą siebie i innych; lecz teraz nie miał on przed sobą tej ofiary cierpliwiej, która pisała niegdyś do niego: „Bądź cierpliwy i pobłagaję dla twej biednej Goody, ponieważ jest ona przywiązana do ciebie i gotowa iść choćby na księżyc, gdybys jej to rozkazał.“ List ten nosi datę 1835 roku więc był pisany w pierwszych czasach przybycia małżonków do Londynu, i ona mimo wyzwolin, które odbywały się w Craigenputtock, jeszcze tak pisać mogła, ale dziś była to już kobieta inna. Już też była wyczerpana nawet fizycznie i zarody wszystkich chorób, które trafiły jej organizm, długo wytrzymała, wysiłki nadmiernej pracy, teraz się poczęły odzywać. Od owej nagłej choroby w 1856 roku już jej zdrowie zostało zachwianem na zawsze i koniec przyszedł w 1863, przyspieszony przez wypadek rozbiegania się koni. Z chorobą piersiową złączyło się jakieś okrutne cierpienie, o którym Carlyle pisze, że mściło się w każdym nerwie, w każdym muskule. Lekarze nie umieli dać mu nazwiska, a ona znosiła przecie tę boleść „w niesłychanie milczący i odważny sposób“, jak jej daje nakoniec świadectwo ten pan jej srogi. O! gdyby była nie zacięła ust na żale, a serca nie uzbroiła w męstwo, jakież to potok

ZA OCEANEM

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

skreślone oryginalnie przez

HELENĘ NEGRONI.

CZĘŚĆ DRUGA

(L A P L A T A).

III.

Starania o pokój. — Ludność Buenos-Ayres. — Osadnictwo; hodowla bydła i życie na stepach. — Bydło i konie stepowe. — Bracia Goës. — Zmarnienie osad pod rządem hiszpańskim. — Zakazy i nakazy handlowe. — Wybicie się na niepodległość; rozkwit i zamożność. — Koniec wojny domowej; generał Rocca prezydentem.

(Dalszy ciąg—Ob. Nr 45).

skarg, łez, wyrzutów, byłby musiał wybuchać jej z piersi przez usta. Męka jej trwała blisko ośm miesięcy i twardy człowiek, umiejący dotąd zajmować się tylko sobą, tylko o siebie się trwożyć, uczuł się nagle wzruszonym jej cierpieniami i przełakł się, że utracić ją może. Ona to poznała i... niewyczerpane jest źródło uczucia w sercu dobrej kobiety—i przebaczyła mu przeszłość. Pojednała się z nim i nawet uczuła wdzięczność tkliwą za to, że troszczy się o nią przecież. Ludzie, dla których los nie był w szczęście rozrzutny, których usta nie piły do zbytku z czary słodyczy, którzy nie byli kochani, nie byli pieśczeni—ludzie tacy zawsze bywają tak wzruszeni wdzięcznością przez okazane im współczucie; czują oni aż nazbyt, że dostają im się tylko okrucy, rozumieją, że to niewiele jest tego, wiedzą, że życie daje innym więcej,—ale mimo to wszystko serce ich przepełnia się wdzięcznością, choćby i za to coś, czem ich darzą, i bez czego schodziliby ze świata, jak nędzarze. Taki proces uczuć odbył się w sercu Joanny. Oczywiście miały teraz dla męża spojrzenie tkliwe, usta jej mówiły mu słowa słodkie; a że czuła zbliżający się kres swój, czyniła to bez zastrzeżeń żadnych. Miała odejść wkrótce, więc ziemia była już dla niej jakgdyby gruntem neutralnym już tylko niedługiej gościny.

Umarła w powozie bez żadnych smutnych przygotowań do śmierci: bez jej żałobnego orszaku prerażeń, trwóg, niespokojnych oczekiwań godziny, w której płomyk życia ma zagasnąć. I w tem nawet mąż jej nie doznał od niej przykrości żadnej: usunęła się z przed jego oczu, jak cień, gdy słońce zajdzie.

Teraz on znalazł jej papiery i przeczytał historią życia, którego nie znał, choć upływało tuż obok niego, i ten „lodowiec“ drgnął, uczuł w sobie ludzkie serca i ludzkie wyrzuty żalu—ludzkie poruszenie zgryzoty, co przed trybunałem sądów o nim staje się mocno na stronę jego przemawiającym rzecznikiem. Egoizm zupełny, samolubstwo skończone, tem się szczególnie odznacza, że się nigdy do winy nie poczuwa i zawsze powód swoich złych postępów, swoich uczuć ujemnych widzi w niedobrocie cnoty innych. On miał jeszcze coś lepszego na dnie serca—miał na tyle uczucia prawdy i sprawiedliwości, że się ostatecznie osądzić umiał i sam wyrok na przewinięcia swoje wydał. Może i jest w tem, jak mu zarzucają, pierwiastek pychy, że kazał to po śmierci swojej publicznie ogłosić, coby i tak ludzie sobie mówili, tylko może ciszej i w kółku więcej ścisnionem—może jest w tem pierwiastek pychy, że w *Notach* objaśniających pamiętniki żony, wyświeca bez ogródki wszystko, czego się przeciwko niej dopuścił, ale jest i wielkoduszność pewna w tej otwartości: „Nie widział“ „nie uważał“ w egoizmie swym zatopiony, względu na nikogo nie miał, praw niczyich nie szanował: ale choć spóźnione poczucie się w tem do przewinięć już dowodzi, że poza granicami jego samolubstwa była tam jednak jakaś część ducha wyżej szlachetna, która się w nim dzwignęła, najpierw do win uznania, potem do uderzenia się w piersi swą twardą, w której przecież mieszkało uczucie sprawiedliwości, jakkolwiek długo zaślepione. Ostatecznie można też o nim powiedzieć, że człowiek był uczciwy.

Po śmierci żony przyjechała do niego do Londynu, jedna z synowie i gospodarowała mu do śmierci, zaszłej w 1881 r. Umierał już sędziwy, bo w 88-cioletnim starcem, a według tego, co podaje ostatnia, w zeszłym miesiącu wyszła o nim w Londynie publikacja Froude'a „Thomas Carlyle, a History of his Life in London: 1833—1881“, koniec tego życia był cicho pracowity i bez przygód już żadnych. Z ukończeniem dzieła o Fryderyku II-gim w 1865 roku, ustają jego chorobliwe szamotaniasz i trudności autorskie; dawna płodność południa jego życia powraca, i pióro staje mu się znów posłusznem. Już też wszystkie jego osobiste węzły ze światem było rozwiązane: samotny jest—i ta cichość, której poprzednio szukał aż gdzieś w samotnym jarze Gór Szkoekich, mieszka w nim i w piersi ją swej mając, niesie ją wszędzie ze sobą, gdziekolwiek przebywa.

Marya Ilnicka.

oni na żółdzie swoim płatnych rabusiów, którzy kilka razy do roku wypadali na stada należące do zamożnych właścicieli estancy (posiadłości ziemskie, gdzie hodują bydło) i zapomocą długich kijów (do których przymocowane były noże w formie półksiężyca), podcinali nogi uciekającemu bydłu, które, w ten sposób okaleczone, padało tysiącami; wtedy rabusie rzucali się na nie, dobijali, ze skóry obdzierali, te ze sobą zabierali,—mięso zostawiając na pastwę psom, krukowi i dzikim zwierzętom.

Skargi właścicieli na te okropne nadużycia do niczego nie doprowadziły, bo na takiej ogromnej, niezaludnionej przestrzeni, łatwo było rabusiom się skryć i dostać na statki, których też na olbrzymio szerokiej rzece, niepodobna prawie było schwycić; nie zdołano więc zaradzić złemu, które coraz więcej i zuchwalej się rozposcierało. Szkody robiono niesłychane; doszło do tego, że bydło zaczęło zupełnie ginąć. Stan ten trwał do początku naszego wieku, kiedy ludność, zmęczona ciągłym cierpieniem, sama wymierzyła sobie sprawiedliwość, wybijając się na wolność.

Zaradzić smutnemu położeniu można było tylko, dając każdemu wolny przystęp do portu i zapewniając zupełną wolność handlowi. Rząd Hiszpański zrozumiał to w końcu i w pięć dni już po ogłoszeniu niezależności Stanów La Plata nadesłano z Madrytu owo pozwolenie na prowadzenie handlu, którego się osadnicy przez kilka wieków dopominali. Było już wtedy zapóźno: vice-królestwo hiszpańskie leżało już w gruzach.

Rewolucya, która nadała wolność Stanom La Plata, nie była przedsięwziętą wskutek dojrzewania jakiejś idei, lub w celu osiągnięcia samodzielności, tak, jak np. w Północnej Ameryce, która, oburzona zuchwalstwem Anglii, w podobnych okolicznościach i z podobnych przyczyn wybiła się zupełnie na wolność. Ludności tutejszej chodziło tylko o zabezpieczenie mienia i użytkowności bogactwa, którego metropola przyjąć nie chciała dla samej siebie, a swojej kolonii znowu wzbrańcała je korzystnie wyzyskiwać.

W chwili wybicia się na wolność Stany La Plata liczyły tylko sto tysięcy mieszkańców; pomiędzy nimi były rodziny od wieków tu osiedlone, niesłychanie zamożne, mające poczucie godności i uczciwości, ale przyzwyczajone do życia nieczynnego, miękkiego, wskutek którego musiały siły ich żywotne zwątląć, a umysłowość z konieczności zakrzepła, zniechęciła.

Zotwarcie portu podniósł się odrazu handel i ze wszystkich stron świata zaczął napływać żywoł nowy; cudzoziemcy wszelkich narodowości tysiącami się zjeżdżali, a z nimi zakipiało nowe życie w tętach krajowców: jakby iskrą elektryczną tknięci, ocknęli się z długiego letargu i pełni odwagi i nadziei stanęli do pracy.

Mało jest narodów, któreby, z równie smutną przeszłością, umiały tak odrazu interes swój zrozumieć i zająć podobne stanowisko w świecie. Mądre rządy generałów Mitre i Sarmiento, następujące po sobie, zdołały przez dwanaście lat prezydentury wśród nienaruszonego spokoju, rozumnej i taktownej administracji, wzbudzić coraz większe zaufanie w cudzoziemcach i dać poznać narodowi jego własne siły i zasoby, wskazać jakim błogosławieństwem będzie dla niego nowy żywoł wprowadzony do kraju przez kolonizacyę. Wszelkich oni dolożyli starań, ażeby zapewnić przybywającym emigrantom dobrobyt i ułatwić im pierwsze przykre chwile osiedlania się. Emigracya, zachęcona tem, zaczęła z każdym dniem się powiększać, a z nią handel i przemysł tak się podniosły, że dziś Stany La Plata liczą przeszło pięć milionów mieszkańców, obracają ogromnymi kapitałami, pieniądz ich papierowy idzie *al pari* ze złotym sterlingiem angielskim, a zaciągana pożyczka na giełdzie paryskiej znalazła jednego dnia pokrycie w czwórnasób wyższe nad żądanie. Ruch też pieniężny podniósł się tak ogromnie, że już nietylko biedacy, ale kapitaliści zjeżdżają się ze wszystkich krańców Europy, widząc tu pole otwarte do działania i korzystnego obrotu kapitałami. Ztąd też bogactwo nadzwyczajne miasta, zbytek strojów, przepych w mieszkaniach, w ekipażach, bo każdy, co pracuje, zarabia tyle, że niepotrzebując sobie nic odmawiać, bawąc się

1) Daireaux: Buenos Ayres et La Pampa.

i wydając, ma jeszcze dosyć na kapitalizowanie. Cudzoziemiec zawładnął dziś niemal całym handlem importowym; wszystkie banki są w jego ręku i wiele fabryk: dlatego też ze strachem spogląda na ruchy polityczne, które dla niego znaczą zastój w interesach handlowych i stratę kapitałów. Jego też starania i usilne zabiegi sprowadziły ostateczne porozumienie się między prowincjami a stolicą i spokój we Wrześniu 1879 r. na dobre się ustalił. Generał Rocca obrany prezydentem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Październiku 1884 r

Pożegnanie pani Boberskiej. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Dzieje rodziny Fredrów w akwarellach Juliusza Kossaka. — Wystawa pszczolniczo-ogrodnicza w Tarnopolu. — *Wzory przemysłu domowego* przez Ludwika Wierzbickiego, zeszyt VII i VIII. — Nowości literackie: *Konferencye duchowne* ks. arcybiskupa Felińskiego. — *Echa z południowej Afryki* przez profesora Remana. — Wydawnictwa *Macierzy*. — Wykłady: ks. Kalinki „O generale Chłapowskim“ i Wojciecha hr. Dzieduszyckiego: „O powieści Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*“.

(Dokończenie).

Potrąciwszy o nowości literackie, mamy jeszcze parę innych ważnych do zanotowania. Przedewszystkiem wymienić tu należy dzieło wysokiej wartości etycznej *Konferencye duchowne księdza arcybiskupa Felińskiego*, w których świątobliwy kapłan z namaszczeniem religijnem rozbiiera najważniejsze kwestye etyczne i tłumaczy ducha prawd chrześcijańskich, stylem pięknym, jasnym i podniosłym. Dzieło to zajmie wysokie miejsce w literaturze naszej religijnej i kaznodziejskiej.

Jednocześnie tażsama księgarnia Gubrynowicza, której nakładem wyszły *Konferencye*, przysłużyła się literaturze innym cennym dziełem: *Echa z południowej Afryki* przez Antoniego Remana, zajmującego obecnie katedrę geografii na tu-tejszym uniwersytecie. Jest to opis drugiej podróży uczonego przyrodnika i etnografa do Afryki, mianowicie do Natalu i Transwalu dla rozpoznania brzegów rzeki Limpopo, odbytej w latach 1879 i 1880. Pod świeżym wrażeniem podróży pisane przesyłał pan Reman opisy swoje do czasopism warszawskich, — i te obecnie, razem zebrane, wydał w osobnej książce za pobudką pp. Gubrynowicza i Schmidta, którzy podjęli się nakładu. Jeżeli w listach pisanych z Ameryki, Henryka Sienkiewicza, przedstawia się żywo i wyraziście świat amerykański z bogactwem swej przyrody, charakterystyką mieszkańców i miejscowemi stosunkami, w całej swej oryginalności, to w opisach Remana, lubo mniej malowniczych, mniej uroku poetycznego w sobie posiadających, poznajemy równie dobrze Afrykę, jej przyrodę, stosunki miejscowe, ludność osadniczą i pierwotnym mieszkańcom kraju. Treściwie, z prawdziwym darem spostrzegawczym, umie autor wydatnić rysy główne, charakterystyczne, składające się na obraz wyrazisty i zajmujący. Drugą część książki zajmują uzupełniające opis podróży trzy rozprawy o pierwotnych mieszkańcach południowego krańca Afryki: Buszmanach, Kafrach i Hotentotach, studyum etnograficzne na naocznem zbadaniu stosunków miejscowych oparte. Rzecz pisana obrazowo, ze znawstwem naukowym i w naukowych celach, czyta się z zajęciem i pożytkiem. „Macierz“ nasza stara się nadać swym wyda-

wnictwom kierunek i wartość praktyczną, ku czemu obiera dla nich treść wiążącą się ściśle ze stosunkami chwili obecnej. I tak w książeczce pod tytułem: *Z czasu powodzi*, napisanej sposobem powieściowym przez Romualda Starkla, znajduje lud wyjaśnienie pożyteczności regulacji rzek, która obecnie na większą skalę ma być przeprowadzona w Galicyi, z inicjatywy sejmu, spólnemi funduszami kraju, państwa i miejscowej ludności. Inny znów obrazek z życia ludu, pod tytułem: *U nas taki zwyczaj*, karci zbyt wysokie wydatki połączone z niektórymi tradycyjnymi obrzędami ludu naszego, jak: chrzty, pogrzeby, poświęcanie chat, odpusty, tłumacząc, że obrzędy te mogą i powinny się obejść bez tych niepomiarnych wydatków, przechodzących najczęściej stan właścianina i pociągających za sobą zadłużenie się i upadek materyalny. Opowiadania Karola Benoniego: *Głodowe lata* miesci wskazówki ulepszenia gospodarstwa i zaprowadzenia ładu domowego, jako podstawy dobrobytu właścianina, zabezpieczającej go od klęsk niespodziewanych, od lat głodowych. W szeregu tegorocznych wydawnictw „Macierzy“ spotykamy się też z niezapomnianym *Pielgrzymem w Dobromilu*, owym dawnym przyjacielem lat dziecięcych, z którego uczyliśmy się elementarza dziejów naszych, opowiedzianych poprostu, zwięźle a tak sympatycznie. Ze sprawozdania dorocznego „Macierzy“, ogłoszonego drukiem temi dniami, dowiadujemy się, że z wydawanych dotąd przez nią książeczek różnorodnej treści rozeszło się już około 50,000, która-to liczba sama przez się świadczy o pożytecznej działalności instytucyi.

Obok tego niemniej pożytecznie rozwija się podobne treścią i kierunkiem „wydawnictwo książeczek dla ludu“, podjęte przed trzema laty kosztem i staraniem kilku obywateli, na których czele stoją posłowie: Stanisław hr. Badeni, mecenas Tadeusz Skalkowski i kilku innych. Wydawnictwo to, poprzedziwszy wydawnictwa „Macierzy“, nie ustaje w swej gorliwości, puszczając w świat, według pierwotnego programatu, parę książeczek każdego miesiąca, pisanych przystępnie w celu oświaty i umoralnienia ludu.

Porę jesienią zainaugurowali nam: ksiądz Kalinka i p. Wojciech hr. Dzieduszycki wykładami na cele dobroczynne w Sali Ratuszowej, które-to wykłady zgromadziły bardzo licznie wszystkie sfery lwowskiej intelligencji. Ksiądz Kalinka w czterech odczytach skreślił biografią generała Chłapowskiego, sposobem obrazowym, miejscami nawet anegdotycznym. Na tle stosunków społecznych przedstawiona pięknie rysuje się postać żołnierza i obywatela. Ksiądz Kalinka oświadczył na początku swych wykładów, że w jednym z pierwszych dzieł swoich przed laty trzydziestu, w dziele „bez wartości“, niesłusznie ocenił generała Chłapowskiego, uublizając jego charakterowi, uwiedziony kłamliwemi o nim pogłoskami. Obecnie miał tedy za obowiązek sumienia zrehabilitować pamięć pokrzywdzonego niegdyś przezeń generała, na podstawie autentycznych materyałów historycznych, pomiędzy którymi miał także pod ręką pamiętniki, będące jednym z ważnych źródeł do poznania jego zacnego charakteru i szczegółów życia. Podzieliwszy rzecz na cztery okresy, obejmujące czynności s. p. gen. Chłapowskiego w rozmaitym kierunku, skreślił ksiądz Kalinka w pierwszym odczycie jego młodość i początek zawodu wojskowego w Armii Napoleońskiej; w dalszych — starania około uratowania rodzinnego majątku, wojny późniejsze, wreszcie zasługi obywatelskie i prace gospodarskie, skutkiem których, nie tylko uratował, ale w trójnasób niemal pomnożył majątek odziedziczony. Styl piękny, koloryt historyczny, podniesiony wielu

ważnemi uwagami, do których treść przedmiotu obszernie nasuwała pole, uczyniły odczyty powyższe księdza Kalinki bardzo zajmującemi.

Zupełnie w innym rodzaju były wykłady Wojciecha hrabi Dzieduszyckiego. Podczas gdy odczyty księdza Kalinki miały cechę historyczno-powieściową, Dzieduszyckiego były na gruncie naukowym opartą estetyczno-krytyczną rozprawą, której za temat służyła powieść Sienkiewicza. W pierwszym wykładzie rozwinął prelegent szeroki pogląd, obfitujący w świetne pomysły, na zadanie i naturę powieści wogóle, na dawniejszą i nowszą belletrystykę, na znaczenie eposu w literaturze i jego istotę. W drugim dopiero wykładzie przystąpił na zasadzie tych poglądów do szczegółowego krytycznego rozbioru powieści „Ogniem i mieczem“. Powieść ta doznała u publiczności czytającej takiego przyjęcia i rozpoznań, że sama ta okoliczność jest poniekąd miarą jej wartości; a najznakomitsi nasi krytycy i znawcy społeczeństwa zajęli się jej ocenieniem, które wogóle wypadło bardzo pochlebnie. Sąd Dzieduszyckiego różni się pod niektórymi względami od zdania poprzedników, wszelako jest on, biorąc szczegółowo, równie pochlebny, równie wysoko stawiający powieść krytyce poddaną. Wyłuszczywszy pojęcie powieści „rodzajowej“ i „rodzajowo-historycznej“, wykazał on, że w właściwym znaczeniu powieść Sienkiewicza nie daje się zaliczyć ani do jednego ani do drugiego z tych działów, lecz aby ją należycie ocenić, potrzeba ją mierzyć miarą epepei, której cechy posiada, górując ponad zwykłą powieścią podniosłością obrazów, szczytnością charakterów i innemi przymiotami, będącemi własnością epepei, lubo nie jest jeszcze istotną epepeją; albowiem brakuje jej do tego najpierw mowy związanej, wiersza heroicznego, odpowiadającego podniosłej treści poematu epickiego, i zakończenia, które, będąc niejako wspaniałem ukoronowaniem dzieła, pozostawiałoby w umyśle czytelnika uczucie zupełnego zadowolenia estetycznego. Zdaniem prelegenta, do historycznej epepei nadawałyby się raczej czasy Sobieskiego, jego czyny tryumfalne w pokonaniu potęgi muzułmańskiej, niżeli nierozegrany dziejowy dramat, obrany za przedmiot eposowej powieści przez Sienkiewicza, dramat, który jakoby w połowie przerwany, przykre niepewności zostawia wrażenie. Nie zewszystkiem podzielaemy to ostatnie zdanie, mniemając, że twórczość poety niekoniecznie powinna się krepować niewolniczo pewnemi utartymi prawidłami, i że dramat nierozegrany może mieć równie wiele żywiołu epickiego, a zasepiony chmurami przyszłości pełen grozy widnokrąg może stanowić równie wspaniałą, godny klasycznej epepei obraz, jak tryumfem uwieńczone zwycięstwo. W szczegółowym rozbiore powieści przepysznie określił Wojc. hr. Dzieduszycki charakterystyki wszystkich zosobna głównych bohaterów powieści, oceniając je z głębokim znawstwem psychologicznem, tak pod względem etycznym, jak estetycznym. Wogóle wykłady Dzieduszyckiego, w których poruszył wiele ważnych kwestyi na polu teoryi estetycznych i literatury, wiążących się zasadniczo z przedmiotem wykładu, odznaczały się rozległą erudycją, bystrością sądu, wielkiem bogactwem poglądów i piękną myśli, wypowiedzianych z porywającą swadą.

Władysław Zawadzki.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 5-ty i 6-ty tomu II-go powieści pod tyt.: **Dwie**.

TREŚĆ. Praca i zarobek kobiety, przez Maryą Ilnicką. — Pogawędka. — Głupia dziewczyna, przez Edwarda Lubowskiego. — Joanna Carlyle, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Za Oceanem, wspomnienia z podróży, (dalszy ciąg), przez Helenę Negroni. — *Korrespondencya zagraniczna*, Lwów, (dokończenie).

Dodatek obejmuje: arkusz 5-ty i 6-ty tomu II-go powieści p. t.: *Dwie*, przez M. Georgianę Craik. — 32 wzory ubiorów i robót wraz z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycją stołu*.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Ноября 1884 года.